№ 20. Warszawa, dnia 3 (15) Maja 1878 r. Rok XIII.—Tom XIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG:
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

Z ALBUMU [1])

Na dwóch kartkach: ciemnej i białej.

Na ciemnej karcie niech głoski ciemne
Dziwnym się plączą zygzakiem:
Tak w moją duszę losy tajemne
Różnym wpisują się znakiem.

Że już, jak chmura, błyskawicami
Popruta, ćmi się i pali—
Bóg wie jakiemi hieroglifami
Życie zapisze się daléj.

Tej drugiej białej karty niczyja
Ręka niech piórem nie kazi;
Dziewiczą duszę niech jak lilija,
Czystością swą wyobrazi.

Niech będzie jasną, jak życie pani,
Niech jak niewinność się bieli;
I niewidzialnem piórem niech na niej
Myśli swe piszą anieli.

Adam Pajgert.

[1]) Wiersz niniejszy, równie jak, wydrukowany w Nr. 19 *Bluszczu*, wiersz ś. p. Henryka Jabłońskiego, znajdują się wpisane w Album małżonki T. J. Jeża, i przez Niego uprzejmie udzielone nam zostały. *Przyp. Red.*

ZADANIA MORALNE

skreślił

Bronisław Chlebowski.

IV. Moralny charakter sztuki i nauki.

(Dokończenie)

Koleje życia Rafaela, Mozarta, Schillera, Słowackiego, Szopena, że pominiemy wielu innych, stwierdzają dostatecznie powyższe twierdzenie.

Praca, ten główny czynnik postępu materyalnego i moralnego, zależy w prostym stosunku od stanu zdrowia i zasobu sił człowieka.

Wszelkie cele życia, zarówno materyalne jak duchowe, osięgamy jedynie przez pracę. Wprawdzie dziś siły przyrodzone wyręczają nasze ręce i potęgują wielokrotnie naszą energię; ale czem mniej tej energii zużywamy ma mechaniczne wysiłki, tem więcej obracać powinniśmy na pracę duchową: zamiast energii muskularnej potrzebujemy dziś energii umysłowej. Między zdrowiem a moralnością istnieje, jak widzimy, ścisła bardzo zależność. Zachowywanie wymagań hygienicznych umoralnia człowieka, i naodwrót, pełnienie ścisłe wymagań moralnych chroni nasz organizm od szkód i cierpień wywoływanych przez nieumiarkowane zadawalanie popędów fizycznych.

Jak nauki przyrodzone roztaczają przed nami całą wspaniałość praw panujących we wszechświecie, tak znowu umiejętności historyczne i społeczne przekonywają nas, iż pod pozornym chaosem i przypadkowością życia codziennego, kryje się prawidłowość i harmonia, o której przez tysiące lat ludzkość nie miała pojęcia. Pomimo sprzeczności i egoistycznej ciasnoty poglądów, interesów i dążeń jednostkowych, społeczeństwa pojedyńcze, ludzkość cała posuwa się i rozwija nieustannie, urzeczywistniając mimowolnie i bezwiednie pewną ideę wynurzającą się coraz silniej i wydatniej z pomroki dziejowej, by stać się następnie na czas jakiś gwiazdą przewodnią dalszego pochodu i zagasnąć zwolna, gdy ludzkość zacznie wstępować w nową, wyższą, fazę rozwoju, której przyświecać będzie nowa, wyższa jeszcze, idea. Dzieje ludów i ludzkości całej, przedstawiają nam wspaniały obraz umysłowego i moralnego procesu, polegającego na stopniowo rosnącej przewadze pojęć rozumowych nad wrażeniami zmysłowemi,— dążeń moralnych nad popędami zwierzęcemi. Na nieszczęście, dotąd jeszcze ludzkość nie nauczyła się utrzymywać równowagi w tych dwóch dążeniach, nie potrafiła równolegle i równocześnie rozwijać się umysłowo i doskonalić moralnie. Powodzenie osiągnięte na jednej z tych dróg, sprowadzało lekceważenie i zupełne zaniedbanie drugiej. Odrodzenie się moralne ludzkości pod wpływem chrześcijaństwa powstrzymało na długo rozwój umysłowy i zaszczepiło pogardę dla słabości i nieudolności rozumu ludzkiego. Naodwrót, świetny rozwój nauk przyrodzonych i wspaniały tryumf rozumu ludzkiego nad potęgami przyrody, posunęły dziś cześć dla tego rozumu do bałwochwalstwa, a lekceważenie wymagań moralnych—do zupełnego zaprzeczenia woli i postępu moralnego. Zasób naszych pojęć rozumowych zostaje o tyle pod władzą konieczności, o ile zależy od świata zewnętrznego, odbieranych od niego wrażeń i kierujących nim praw; czyny nasze również są koniecznemi o tyle tylko, o ile źródłem ich są czysto fizyczne procesy i bodźce. Jeżeli tylko wykonywamy coś ze świadomością pobudek i następstw, przy udziale moralnego instynktu, wtedy zawsze jesteśmy mniej lub więcej wolnymi. Wolność duchowa bowiem nie u wszystkich ludzi i nie w jednakowym istnieje stopniu.

Władze duchowe, podobnie jak i władze fizyczne, są udziałem wszystkich, ale w stanie zawiązków, w stanie uzdolnień wymagających odpowiedniego kształcenia i rozwijania, dla otrzymania należycie funkcyonujących organów.

Wolnym może i powinien być każdy człowiek; na nieszczęście, nie każdy spotyka w życiu potrzebne do tego warunki, nie każdy dochodzi do świadomości posiadanych w swej duszy uzdolnień, do świadomości swej istoty i swych ludzkich przeznaczeń.

Historya i umiejętności społeczne stwierdzają nam tysiącznemi, przykładami solidarność i harmonię czynów, interesów i celów prawdziwie ludzkich. Każdy nasz postępek, każde słowo ważniejsze sprowadza nieskończony szereg następstw, toczących się, jak kręgi na wodzie lub fale powietrzne, coraz szerszemi kołami, dopóki nie załamią się lub nie rozproszą w zetknięciu z innemi. Potęga przykładu i rozległość następstw nadają naszym czynom i mowie doniosłość, niedającą się obliczyć i ująć myślą: ztąd roztropność i powściągliwość stanowią dwa nader ważne warunki udoskonalenia moralnego jednostki i postępu społeczeństw.

Każda praca nasza, każda usługa wyświadczona drugim, przynosi korzyść obustronną. Zysk nasz nie pociąga za sobą bynajmniej straty drugiej strony, jak to mniemają powszechnie ludzie sądzący o rzeczach z ciasnego i nizkiego punktu widzenia. Jedna ze stron traci wtedy tylko, gdy ją druga oszukuje, dając przedmiot, nieposiadający tych własności i wartości, jaką mu przypisuje. Uczciwie prowadzony handel zbogaca obie strony i łącząc je węzłem wspólności materyalnych interesów, toruje drogę do moralnego zjednoczenia, do wspólnej pracy nad urzeczywistnianiem wyższych zadań życia.

Jak siły, zwane już-to chemicznemi, już-to fizycznemi, utrzymują w skupieniu atomy, wytwarzając z nich cząsteczki stanowiące massę wszelkich ciał, tak samo prawa moralne, społeczne i ekonomiczne skupiają jednakowe dążenia i usiłowania w jednolite ciała interesów moralnych, ekonomicznych i społecznych. Jak oderwanie się jednego atomu sprowadza rozkład w całej grupie cząsteczek i nadwerężą, w mniejszym lub większym stopniu, układ sąsiednich grup, tak samo każde dążenie i usiłowanie jednostki dla oderwania się od ciała interesów ogólnych zakłóca ich harmonię i paraliżuje w części dalszy rozwój. Ztąd język nasz trafnie nazywa przestępstwem lub występkiem wszelkie przekroczenie granicy, jaką moralne i społeczne wymagania naznaczają jednostkowej działalności. Zrywając węzeł solidarności interesów ludzkich, człowiek pozbawia się opieki praw moralnych, oraz instytucyj społecznych i jako burzyciel ogólnego ładu i harmonii zasługuje na utratę samodzielności, z której nie chce lub nie może należycie korzystać. Nauki polityczne, prawne, społeczne i ekonomiczne zajmują się właśnie wytłómaczeniem układu i funkcyonowania tych idealnych organizmów, w których jednostki ludzkie są pożytecznemi, destrukcyjnemi lub biernemi czynnikami. Że pomiędzy interesami ogólnemi a jednostkowemi nie zachodzi żadna sprzeczność, lecz przeciwnie, istnieje ścisła harmonia i solidarność—o tem nie godzi się nam wątpić; cała trudność polega tylko na wykryciu prawej harmonii i odgadnięciu warunków, przy których swobodny rozwój jednostki nie stanie w sprzeczności ze sprawami ogólnemi. Wymagania moralności religijnej i filozoficznej rozbijałyby się najczęściej o niewzruszoną skałę egoizmu, gdyby najpierw doświadczenie życiowe a następnie nauki ekonomiczne i społeczne nie przekonywały tysiącznemi przykładami, iż dobrze zrozumiany interes własny wymaga uległości dla praw moralnych i poszanowania dla interesów ogólnych. Katechizm nie zawsze zdoła tak dosadnie wykazać ohydę i szkodliwą doniosłość kradzieży, oszustw i t. p. wykroczeń przeciw własności i bezpieczeństwu osobistemu, jak odpowiednie rozdziały wykładu ekonomii politycznej. Prawodawca znowu wskazuje jednostce drogę moralnego postępowania w wielu razach i położeniach, w których ani religia ani filozoficzna etyka nie mogą nam udzielić potrzebnych wskazówek. Niekażdy człowiek posiada rozbudzone i ukształcone sumienie, niekażdy chce i może korzystać ze światła rozumu: ztąd prawodawca bierze pod uwagę wszystkie stosunki życia rodzinnego, społecznego i politycznego i wszystkie sfery działalności ludzkiej, o ile ta dotyka powyższych stosunków, i stara się, zgodnie z celami ogólnemi i wymaganiami moralności, ująć je w pewne karby, niedopuszczające kollizyi i rozstrzelenia sił. Prawo nie jest bynajmniej wcieleniem wymagań moralnych w formę paragrafów kodexu: zadaniem jego jest tylko torowanie drogi tym wyższym wymaganiom, hamowanie zwierzęcych popędów i nizkich dążeń w człowieku. Wytyka ono jednostce drogę życia słupkami i baryerkami, nietroszcząc się czy ona będzie iść naprzód czy stać w miejscu, lub krążyć tam i napowrót, byle tylko nie przeszła poza baryerkę.

Znajomość prawa nie umoralnia bezpośrednio wprawdzie, ale umożebnia nam moralną ocenę rozlicznych stosunków i położeń życia, interesów materyalnych, społecznych i politycznych. Głos sumienia, choćby najdrażliwszego, nie wystarcza dla wyrzeczenia o słuszności lub niesłuszności w kwestyach majątkowych, handlowych, przemysłowych i t. p. W bardzo wielu razach sumienie nasze powinno uznać za słuszne to, co się zgadza z duchem prawa, które jako wyraz zbiorowej woli i rozumu społecznego, lepiej i szerzej ogarnia związek interesów. Sumienie jest kompetentnym sędzią własnych naszych czynów jedynie: im mniej znamy osobę lub sprawę, o której sąd chcemy wydać, im bardziej obcemi są nam jej warunki i stosunki, tem ostrożniejszymi musimy być w wyrokowaniu, tem mniej możemy ufać swojemu instynktowi moralnemu, który w takich razach ulega częstym pomyłkom, a za to tem pilniej zważać musimy na prawno-społeczny charakter danego postępowania lub stosunku.

Prawo i nauki społeczne dostarczają nam wskazówek niezbędnych dla oceny moralnej zewnętrznych stosunków i warunków; psychologia zaś i filozofia wogóle rozświetlają tajniki ducha i cały proces wewnętrznego życia, tak ważny dla zrozumienia oceny czynów i dążeń ludzkich. Dokąd sięgają zmysły i potęgujące je narzędzia, co można ująć doświadczeniem lub oznaczyć rachunkiem,—wszystko to stanowi dziedzinę nauki. Skoro tylko jednak umysł ludzki chce sięgnąć tam, gdzie oko i szkło dobiedz nie może, wyjaśnić to, czego nie umiemy sprowadzić ni obliczyć, wkracza zaraz w sferę filozofii. Zarówno niewymierzalny atom, jak niedające się ująć cyfrą lub doświadczeniem pra-prawo wszelkiego bytu, wychodzą poza obręb nauki, która o tyle ma zasadę nosić to miano, o ile się wspiera na pewnej grupie faktów lub stosunków pokrewnych sobie naturą i wspólnością jednoczącego je prawa. Nauka może rozszerzać, i rozszerza w istocie, coraz bardziej sferę swej działalności, bez najmniejszego uszczerbku dla filozofii, której przedmiotem były i będą zawsze dwie nieskończoności, między jakiemi człowiek, według wyrażenia się Pascala, zawieszony jest na tym świecie: nieskończoność ducha własnego i nieskończoność otaczającego nas wszechświata.

Filozofia opiera prawo swego bytu nietylko na tysiącach lat istnienia, na usługach, jakie oddała nauce, i geniuszach, jakiemi się słusznie ludzkość szczyci, lecz głównie nie wiecznotrwałej potrzebie i dążności ducha ludzkiego, na niepowściągnionym popędzie ku skoncentrowaniu światła nagromadzonego przez rozum w danej epoce, dla rozjaśnienia jednej lub obu tych dręczących nas nieskończoności, dla wyczytania przy jego blasku słowa zagadki bytu. Z dziecięcą niecierpliwością i niezrażoną niczem wytrwałością, ludzkość ponawia ciągle swe daremne dotąd wysiłki. Jesteśmy przekonani o przedwczesności naszych porywów, o niemożebności uchwycenia bezwzględnej prawdy: mimo to nie umiemy się powściągnąć od sprobowania szczęścia; nie możemy się wyrzec nadziei wygrania wielkiego losu, na który wyczekiwało tyle wieków i pokoleń. Jak śmiali wędrowcy, którzy, nieustraszeni niebezpieczeństwami i niepowodzeniami swych poprzedników, przedzierają się coraz-to dalej ku biegunowi północnemu, zdobywają dla nauki i cywilizacyi coraz-to nowe ziemie, wdrapują się na szczyty nieprzystępne dotąd ludzkiej stopie,—tak samo myśliciele probują coraz-to nowych dróg, wdzierają się na coraz-to wyższe szczyty, odkrywają coraz-to nowe widnokręgi, by zbliżyć się ku prawdzie, temu biegunowi świata duchowego. Zabiegi te nie pozostają bezskutecznemi; owoce tych prac nie giną marnie; owszem stają się cegiełkami wielkiego gmachu myśli, który, jak owa mityczna wieża Babel, wznosi ducha ludzkiego w bezmiary nieskończoności. Dzieje filozofii nie są bynajmniej smutnym szeregiem śmiałych i wielkich niekiedy, lecz zawsze daremnie marnowanych wysiłków, jak twierdzą niechętni, lecz, podobnie jak koleje wielu nauk, przedstawiają nieprzerwany łańcuch usiłowań umysłu, nieumiejącego z początku ani ocenić własnych sił, ani zastosować wytkniętego celu do posiadanych środków, dopóki doświadczenie wieków nie ukaże mu granic poznania i warunków, w jakich możliwem jest uchwycenie prawdy względnej.

Miłość prawdy i usilne jej poszukiwanie, wyzwala nas z pod władzy poziomych popędów i namiętności, pozwala nam zapomnieć o przykrych warunkach życia i jakiekolwiekbądź rezultaty otrzymamy z krwawych usiłowań swojego rozumu, zawsze to zbliżenie się z nieskończonością, to wtajemniczenie się w istotę własnego ducha, ten stosunek, w jaki wchodzimy z poza-zmysłowym światem, musi oddziałać na nas uduchowiająco i umoralniająco zarazem. Lessing powiada, że gdyby Bóg dał do wyboru człowiekowi gotową prawdę i żarliwe tylko jej pragnienie, to człowiek bez wahania się wybrać winienby to ostatnie. I słusznie, albowiem to poszukiwanie i miłość prawdy, są źródłem najwyższego szczęścia, jakie człowiek może osiągnąć na ziemi i bodźcem do najwyższego stopnia moralnego udoskonalenia.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Strukczaszyc zwykł był wstawać rano. Tego dnia jakoś zadługo czuwał z Kaczorem nad rachunkami i zaspał.

Jeszcze był powiek nie otworzył, gdy posłyszał, co u niego było rzeczą niepraktykowaną, że drzwi się otworzyły i ktoś wpadł do sypialni.

Ponieważ nikomu to nie było dozwolonem, Hojski z gniewem podniósł głowę z poduszek i ujrzał przed sobą wyrostka, który mu buty czyścił i wodę przynosił, stojącego z takim wyrazem grozy i przestrachu na twarzy, że Strukczaszyc, zamiast go zburczeć, co miał już na języku, zawołał:

— A tobie się co stało?

Chłopiec stał drżący, z rękami załamanemi; nie mógł mówić.

— A będzież-że ty mi gadał? Co z tobą? sfixowałeś?

Szarzało już dobrze w oknach. Hojski się zerwał z łóżka, sam już przelękły, na myśl mu przyszło: czy się nie pali?

Schwycił za ramię chłopca:

— Co tobie!

Ten ledwie mógł mówić, a bąkał tak niewyraźnie, iż zrozumieć go było niepodobna.

— Las! las—gromady! las tną!

— Jaki las! co tobie! Przeżegnaj się.

Chłopiec ręką wskazał na okno sypialni, które właśnie na las wychodziło.

Hojski, jak stał w koszuli, rzucił się ku oknu, otworzył je a raczej wyłamał, głowę wystawił,—począł słuchać.

Coś niepojętego, niezrozumiałego działo się w niezbyt oddalonym lesie. Las kipiał, mruczał, huczał—siekiery biły o drzewa. Nie dwie, nie dziesięć — ucho wprawne Strukczaszyca nie mogło ich policzyć.

Coś istotnie działo się w lesie. Osłupiał.

Stał jeszcze, gdy nagle nadbiegł Morawiec, blady, w kożuszynie narzuconym na ramiona, w ber-

iaczach zimowych, bo się jeszcze ubrać nie miał czasu.

— Jaśnie panie! Chomiuk, który był w naszym lesie, ledwie uciekł! Łopatyckie gromady ze wszystkich wiosek, z siekierami, mówią tysiąc ludzi, las nasz w pień tną!

— Tną las! krzyknął, bledniejąc, Hojski—mój las!

Stał jak pół martwy. Nad łóżkiem wisiała strzelba: pochwycił ją machinalnie, choć był w koszuli.

— Konia! Kto żyw za fuzye! pierwszemu, co na cel wpadnie, kulą w łeb.

Krzyczał tak głośno, że wszyscy się w domu zbudzili. Kaczor pierwszy wpadł w płaszczu starym i boso.

— Jezusie miłosierny, co się dzieje! co się dzieje!

— Łopatyńce, rozbójniki—ledwie dysząc, krzyknął Strukczaszyc,—las mój w pień tną!

Komornikowi oczy się zaiskrzyły jak u kota.

—A to napastnikom w łeb strzelać! Prawo pozwala. Statut i korrektury nie bronią siły siłą odpierać. Jaśnie pan na swojej używalności jesteś w prawie. W łeb! walić! strzelać! Choćby się sam sędzia nawinął—pal! Za to nie będzie nic.

Rozognił się tak komornik, że mu na ustach piana stanęła.

— Koni! ludzi! wszystkie strzelby, jakie są we dworze, nabijaj! — wołał, biegając, Strukczaszyc i naprędce wciągając odzież na siebie—konia!

Morawiec, dworskich na koń!

Ja jadę!—wszyscy!

Już i panna Blandyna, opierając się o ściany, wylękła, podchodziła, gdy chłop bez czapki, zdyszany, zjawił się w progu.

— Las tną! ledwiem uszedł!

Był to już drugi świadek naoczny:—Wszystkie gromady—ani się nam na nich porywać! A! gdzie! chmary! Wszyscy strzelcy i leśniczowie i dworscy z ponabijanemi fuzyami. Ledwie żyw uszedłem, mierzyły bestye za mną.

— A strzelać nie będą śmieli! — przerwał komornik — nie będą! Trzeba jechać i bronić się. Pierwszego sędziego, który tam pewnie jest, kula nie powinna minąć.

Strukczaszyc już się był odział, rękami dygoczącemi pozapinawszy odzienie krzywo, trzymał drugą fuzyę zdjętą ze ściany i wykręcał z niej śrót aby do niej wpuścić duże loftki, coś jakby na grubego źwierza. Torbę leżącą na łóżku rwał i przewracał, niemogąc nic znaleźć. Czapkę już miał na uszach, od czasu do czasu mrucząc: Konia!

Komornik podżegał.

W stajni kulbaczono konie; na dziedzińcu zbiegali się ludzie, kobiety na pół odziane, z fartuchami na plecach, powychodziły patrzeć; dzieci beczały; parobcy się popychali: nieład panował niewysłowiony.

Prowadzono już stępaka Strukczaszycowi, gdy p. Blandyna, cała we łzach, z energią niezwykłą, rzuciła się ku bratu i strzymała go.

— Na rany Pańskie! Co robisz! wstrzymaj-że się! Niepuszczę! Zabiją cię — ty zabić możesz! Nic nie poradzisz, tam przemoc i siła! Co lepszego będzie, gdy zginiesz! Ja cię nie puszczę; to-by było szaleństwo!

Bracie! bracie, opamiętaj się!

Strukczaszyc stanął.

—Co to, z pozwoleniem, babskich lamentów słuchać — krzyknął zapalony Kaczor — tu panie wal, a bij, bij a wal. Sędziego w łeb! sędziego w łeb!

— Waćpan oszalałeś — zawołała, zwracając się ku niemu p. Blandyna—na zgubę posyłasz innych! Idź pan sam! idź-że sam! Słyszałeś, że tysiąc ludzi spędzono, że strzelcy czatują z fuzyami. Im tego potrzeba, ażebyśmy się porwali bezsilni. Napadną na dwór! Gotowi zburzyć i spalić!

Nierozum jest rwać się bez siły!

Panna Blandyna osłabła prawie, trzymając brata i usiłując mu zaprzeć drogę. Komornik, za nią stojący, dawał mu znaki, ale napróżno. Głos siostry przemówił jakoś do przekonania, Hojski stanął zamyślony:

— Masz acanna słuszność! tak! na kułaki iść nie nasza sprawa. Komornik! słyszysz, na wózek do sądu, po urząd do obdukcyi!—i—*visum repertum*.

Kaczor, który drugich rad pędził, gdy mu przyszło pomyśleć, że ma jechać, a na drodze może być zaskoczony przez ludzi Łopatyckich i potraktowany jako wysłaniec nieprzyjacielski, znacznie ochłódł.

— Toć nie pilno! — mruknął.

Hojski ochłonął też, strzelbę postawił, popatrzał na ekonoma:

— Głupstwem-by było opierać się z garścią takiej sile. Niéma co—niéma co....

Rób acan co chcesz! Ja — ścierpię i to. Zobaczemy!

Mówiąc to Strukczaszyc, zaciskał usta strasznie; gniew mu tłumił głos—słabł z niego. Ręką wskazał, aby ludzie szli precz.

— Dać pokój!—skonkludował. Komornik pogardliwie ramionami ruszył; p. Blandyna przystąpiła do brata i w rękę go pocałowała.

— Bóg ci to nagrodzi!—szepnęła.

Wychyliwszy szklankę wody, jak pijany jeszcze, chwiejąc się na nogach, Hojski, o ściany się opierając rękami, wysunął się zwolna w sień i wyszedł na podwórze. Słońce było weszło jasne, ranek był prześliczny, mgły jak senne kołysały się nad ziemią. W dali huczało; trzask drzew, łoskot siekier wyraźniej tu dochodziły niż do łopatyckiego dworu. Strukczaszyc stanął z rękami załamanemi; łzy mu się znów toczyły.

— Mój las! mój las!—powtarzał. Boleść wyryta na jego twarzy, zmieszana z gniewem, zmieniła ją prawie do niepoznania. Zdawało mu się, że ludzie wzrok w nim topią i przejęci żalem nad nim, sami ocierają powieki.

Strukczaszyc ten las pielęgnował, kochał jak dziecię swe; była to jego duma, rachuba przyszłości, rzecz dlań może droższa od Sierhina. W jego oczach podźwignęły się te sosny; znał z nich każdą.

— Mój las!—powtarzał pocichu.

Stojący za nim w płaszczu komornik—zły, że mu się cudzemi rękami własnej zemsty nie udało dokonać, spozierał nań prawie z pogardą.—Plunął wreszcie i ubierać się począł.

Zwolna ludzie z dziedzińca zaczęli się oddalać na pole, ażeby się bliżej widowisku temu przypatrzeć. Było ono dziwnem jak kataklizm jaki. — W oczach ubywało lasu; znikały wysokie wierzchy, przerzedzała się ściana czarna; las padał, jakby niewidzialną ręką zdruzgotany i obalony na ziemię.

Hojski, który łzawemi oczyma patrzał w początku na to zniszczenie, zwolna odzyskiwał zwyczajną swą chłodną zaciętość. Łzy osychały, zęby się ścięły; namarszczył brwi, zdawał się twardnieć z wewnętrznego bólu. Myśl widać znalazła już jakieś środki wyjścia z tego zakąta, w który go przemoc zagnała; budował coś i obrachowywał. Bladość coraz straszniejsza okrywała pofałdowaną twarz. Nie miał tylko siły oderwać się od tego widoku—stał jak wkuty. Panna Blandyna, która była odeszła na chwilę, aby się ogarnąć, corychlej powróciła ku niemu.

Ona, co tu nigdy głosu ani władzy żadnej nie miała, po raz pierwszy zdawała się panować nad bratem, na którego zwykle patrzała z trwogą. Ujęła go zlekka za rękę—drgnął.

— Chodź—rzekła łagodnie—ty po męzku umiałeś zawsze czoło stawić wszystkiemu, co cię spotykało. Co pomoże gryźć się i męczyć? Tegoż on chce—ten, co ci krzywdę wyrządził; najmilsze mu to, że ryczysz z bólu.

Strukczaszyc popatrzał na nią długo: po raz wtóry wyrazy jej trafiły mu do przekonania. Z niepojętem posłuszeństwem dał się tej słabej ręce niewieściej zawrócić ku dworowi.

— Chodź, spocznij—co to pomoże rozpaczać!

Strukczaszyc milczący ruszył się i wolnym krokiem poszedł za siostrą ku domowi.

Nadciągnął właśnie z głową opuszczoną Morawiec, rękami machając rozpaczliwie.

Strakczaszyc stanął.

— Niéma co — rzekł wolnym głosem. — Przemoc — słabsi jesteśmy. Powiedz acan ludziom, niech się trzymają spokojnie.

Tną, to tną — dla mnie już oni go wycięli! Zagramy im z innej barwy!

Szkoda ludzi! Niech tną! Będziemy i my coś cięli.

Ostatnie wyrazy zamruczawszy niewyraźnie, wszedł do dworu Tu rzucił się na krzesło przy stoliku, podparł na łokciu i tak pozostał w niemem osłupieniu. Panna Blandyna sama mu przyniosła kawę, której nie tknął.

— Nie mogę!—rzekł krótko.

Komornik, ubrawszy się, wpełznął do pokoju. Był widocznie gniewny.

Zdala aż tu dochodził huk walącego się drzewa.

— A to panie chwat pan sędzia—począł mruczeć stając u stolika.

Strukczaszyc nic nie odpowiedział. Po chwili odezwał się:

— Kazałeś acan zaprzęgać?

— A po co?

— Po urząd?

— Cóż to las i pnie pouciekają? — rzekł Kaczor. Niéma się co śpieszyć. A pan chce, żeby mnie złapali na drodze i jeszcze poczęstowali.—O! nie!

Hojski popatrzał nań pogardliwie i krzyknął na chłopca:

— Morawca wołaj!

Ekonom, który był w ganku, stanął zaraz w progu.

— Co jaśnie pan każe?

— Komornik się boi: jedź acan do urzędu; powiedz co tu zaszło,—niech zjadą.

— Ja się nie boję—zabełkotał Kaczor — ale nie widzę potrzeby.

— A widziałeś potrzebę, żebyśmy szli się borykać z nimi? — mruknął Strukczaszyc.

Kaczor ręką machnął, siadł i do wystygłej kawy począł się dobierać.

W lesie tymczasem zniszczenie się szerzyło. Wódką zachęcani do pośpiechu, chłopi rąbali śpiewając, śmiejąc się, wyprzedzając, bawiąc tą szkodą z nieostrożnością taką, że dwu ich padające drzewa silnie poraniły. Nie przeszkodziło to reszcie do samego wieczora, dopóki nie ściemniało, rąbać co napadli. Na dobitkę chciano jeszcze pożar zapuścić, ale się Śliwka sprzeciwił temu, rozważywszy, iż ogień mógłby się dostać i na łopatyckie zapusty.

Znaczniejsza część dyferencyi zniszczoną została; całej jednak rady dać nie mogli ludzie, i ku nocy pokładli się obozem na polankach. Śliwka pobiegł do dworu po rozkazy. Czemeryński przez cały niemal dzień przesiedział na dziedzińcu i w ganku, napawając się odgłosem swojego dzieła. Dziwiło go tylko, że ani jejmość, ani ks. ex-definitor, ani Francuzka tryumfu jego nie podzielali, i owszem, byli wszyscy jak przybici tem i zasmuceni.

Gdy Śliwka się ukazał, sędzia wybiegł naprzeciw niemu.

— Udało się?

— A jakże.

— Cały las runął?—zapytał Czemeryński.

— Więcej niż połowa—odparł Śliwka.

— Tylko!—westchnął sędzia.

— Bronili się?

— Chowaj Boże.

— Jakto? nic? wcale? Strukczaszyc strzymał?—podchwycił Czemeryński. Czyż to może być?

— Żywej duszy nie widzieliśmy—rzekł Śliwka. —Strzelcy stali darmo.

Dlaczego niemiłem to było Czemeryńskiemu—nie wiadomo; zamruczał, brwi zmarszczył.

— Cóż jaśnie pan każe na jutro? czy dalej ciąć? Gromady czekają.

Sędzia potarł ręką po twarzy, przeszedł się, stęknął.

— Będzie tego dosyć — odezwał się—ludzi nie trzeba męczyć. Dać im wódki i rozpuścić!

Nie okazał zbytniej radości sędzia; niewiedzieć dlaczego, zrobiło mu się markotno. Nie czuł, nie słyszał, nie nasycił się męką nieprzyjaciela. Zdawało mu się, że jej nie osiągnął.

— Ale jakże to może być, ażeby Sierhińce choć nie zerwały się w pierwszym momencie. Nic? nic?

— Gdzież oni mieli się porywać! — rozśmiał się Śliwka. — Siła złego dziesięć na jednego. Mieli rozum.

Właśnie ten rozum i cierpliwość wprawiały Czemeryńskiego w niepokój jakiś. Znał nadto dobrze Strukczaszyca, ażebym ógł przypuścić, że mu to daruje i zemsty szukać nie będzie. Teraz dopiero, ochłonąwszy, obrachowywał, że proces o wiolencyę i najazd mógł pretensyami za szkody pokryć resztę klucza Łopatyckiego.

— Cóż mi tam! — powiedział sobie w duchu,

wzięli dyabli krowę; niech biorą i cielę! Będzie się mścił, ale com dojadł mu, to dojadłem.

Śliwka jeszcze stał u progu, czekając na należną pochwałę. Czemeryński stał zadumany.

— I — rzekł pomilczawszy — i niesłyszeliście nic, ze dwora—ani słowa, ani jęku? Nie wiedzieliście nic? nie dali znaku życia?

— A nic, rzekł ekonom, strusili, przycupnęli! albo to, proszę jaśnie pana, mała rzecz ośmset ludzi z toporami? Ta-to potencya, nie żart! Ta-to była, panie, armia... Cóż im się było porywać z motyką na słońce!

Poszedł spać sędzia, dużo mniej zadowolony niż był zrana; jakoż mu się to teraz inaczej zupełnie wydawało. W jego wyobraźni miała to być tragedya krwawa, mógł paść zapamiętały Strukczaszyc, a ten się nawet ani ukazał. Zemsta była nie pełna, nie osmaczona krwią—a teraz następowały po niej prozaiczne jej skutki: pozwy, zjazdy, opatrywania na gruncie, kommissye, targanie się przed sądami i—kondemnaty i koszta!

W tych myślach usnął sędzia, a nazajutrz, gdy niecierpliwa Francuzka znowu zaczęła nalegać, grożąc, że umrze, aby ją corychlej wypuszczono, ostatnie trzydzieści czerwonych złotych z własnego i jejmościnego kantorka ściągnąwszy, Czemeryński nareszcie przyrzekł konie i wyprawę do Lublina. Ztąd już Francuzka miała się dostać do Warszawy.

Nie miała jeszcze może stałego projektu, co pocznie z sobą, tak trwoga ją pędziła zpod tej strzechy, względem której czuła się winną. Jak tylko dostała pieniędzy, natychmiast p. St. Aubin pakować się zaczęła, z gorączkowym pośpiechem. Żadną siłą, nawet na kilka godzin, powstrzymać jej nie było można. Nie miała litości nad sędziną, która ze łzami prosiła ją aby się, zatrzymała; nie dała się uprosić sędziemu i nazajutrz rano była już na gościńcu, oddychając swobodniej.

Odjazd jej miał też w Łopatyczach wielką zmianę wywołać, bo oprócz tego, że zabrakło w istocie jednej z osób, do której wszyscy byli przywykli, ludziom, co się jej obawiali, dopiero teraz rozwiązywać się zaczęły usta. Francuzka przez swą wychowankę pozyskała była wpływ niemały; spełniano jej rozkazy; nikt przeciwko niej słówka nie śmiał pisnąć. Kobiety, szczególniej dawna rezydentka, która teraz z garderoby się nie ruszała, niemając władzy w jednej nodze, pani Piotruska, dawniej faworyta obojga państwa, zaćmiona przez Francuzkę, skrycie jej nienawidziła. Po odjeździe pani St. Aubin wszystko, co na nią wynaleźć było można, wysypało się ze wszech stron.

— Ci, co milczeli dotąd, poczęli się półgębkiem odzywać..

Ludzie, którym w Lublinie zakazano mówić o odwiedzinach pana Erazma, przebąkiwali coś o nim. Dwie kobiety ze wsi rozpowiadały dworskim, że u Dziwu, na kamieniu, widywały często Francuzkę z panną i przychodzącego, a przesiadującego tam, panicza z Sierhina.

Gdy o tem pocichu mówić zaczęto, w początkach Piotruska wierzyć nie chciała. Obudziła się jednak ciekawość, poczęto śledzić, przepytywać, baby ze wsi potajemnie sprowadzać i coraz więcej znajdowało się dowodów, że owe codzienne przechadzki na Dziewule były schadzkami z młodym Hojskim.

Kobiety wiejskie, które chodziły po grzyby i jagody, niejeden raz, nieukazując się zza krzaków, szpiegowały młodą parę i powiadały jak się brała za ręce, jak czule spoglądała na siebie, jak się sobie uśmiechała.

Stara Piotruska, zebrawszy fakta, wysłuchawszy świadków, przedewszystkiem zaprosiła do siebie ks. ex-definitora. Dominikanin, przez wzgląd na ułomną staruszkę, przychodził do niej i tak często grywać w maryasza na zdrowaśki. Piotruska, bez żadnego wykształcenia, prosta sobie kobieta, była przecież rozumną i przebiegłą. Opowiadała też wyśmienicie o dawnych czasach i o swojem wychowaniu na dworze Sapiehów.

Ksiądz Ambroży zaproszony przyszedł jak zwykle z dobrym humorem i tabaczką.

Piotruska czekała nań w krześle u stoliczka z kawą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Psałterz Dawidowy, przełożony wierszem polskim przez *Kazimierza Bujnickiego*. — Toruń, nakładem własnym, w kommissie księgarni Nowej w Toruniu. 1878. 8-o min. str. XXIV i 303.

Sędziwy autor obrazów obyczajowych z nad Dźwiny, zasłużony wydawca *Rubena*, bystry spostrzegacz i niepośledni, choć małotwórczy, powieściopisarz, Kazimierz Bujnicki, przypomniał się świeżo światu, który imię jego niepamięcią już był okrył i dwukrotnie go nawet za umarłego obwieścił—przyswojeniem językowi naszemu i wydaniem księgi od dwudziestu wieków przekazywanej z pokolenia w pokolenie jako drogie dziedzictwo. Wraz z religią wzięło ją było niegdyś chrześcijaństwo z tej ziemi „gdzie nad prorokiem schło drzewo figowe“—wzięło ją i z czcią wielką pomiędzy swoje księgi święte włączyło.

Ta świętość w porządku religijnym jest zarazem i pięknością w porządku świeckim. *Psalmy Dawida* do najpiękniejszych utworów ducha ludzkiego należą, i choćby na nich religia piętna swego nie wycisnęła, poczucie piękna, nieumierające w ludzkości, zapewniłoby im samo jedno trwałość na długie wieki. Wzbierające ustawicznie potoki rozumu, wiedzy i krytyki nie zmogą sławy tego arcydzieła poezyi wszech wieków, jak nie wzruszą samej poezyi z wiekuistych jej posad. Prawo piękności jest wszechwładnem. Może się świat w tym lub owym kierunku rozwijać; mogą umysły ku dołowi zamiast ku górze ciążyć: piękno nie przestanie być pięknem, chociażby dla szczupłej tylko garstki widzialnem. Spokojnym być można o przyszłe prawa poezyi i sztuki, i ze spokojem też idzie pod sąd przyszłych pokoleń te półtorasta pieśni, wpośród których ilościowo i jakościowo pierwsze miejsce trzymają utwory Dawida, zkąd też i nazwa całego zbioru pochodzi. Istotny założyciel monarchii u Izraelitów, największy z ich królów, jest zarazem i największym z ich poetów. Ezechiel tylko, Izajasz i Jeremiasz stanąć obok niego mogą.

W 90-m roku życia trudno było dać piękniejszy i stosowniejszy nad Psalmy Dawidowe podarunek ślubny prawnuczce swojej, w chwili, gdy się jej błogosławiło na życie całe. To życie nasze tak najeżone jest kolcami; tyle kamieni ostrych i zasadzek mamy na drogach swoich; byt nasz tutaj tak wątły; największe nawet szczęście nie inaczej do nas przychodzi tylko niosąc w samem sobie utajone nieszczęścia: że dodanie istocie słabej, wychodzącej w świat, takiego sędziwego pocieszyciela, mistrza i przyjaciela serc ludzkich, jakim jest *Psałterz Dawidów* — cennym musiało być podarkiem od patryarchy rodu dla młodej jego odrośli. Skorzystała z niego i literatura współczesna; bo kto wie: czyby nam skromność autorska, pozostawiona samej sobie, dała kiedy poznać przekład „który długie lata przeleżał w rękopiśmie“, gdyby nie owo błogosławieństwo rodzinne i szczęśliwa myśl połączenia z niem upominku religijnego, własną dokonanego pracą?

Psałterz tedy nazywa się „Dawidowym“. Ale już S. Hieronim nie uważał Dawida za jedynego ich twórcę, a późniejsze gruntowne badania, w nowszych zwłaszcza wiekach, dowodnie przekonały, że Psalmy, nazwane tak od greckiego „śpiewu lub pienia“ wytworzyli w różnych czasach różni ludzie i w różnym nastroju ducha—na jednej wszakże i tej samej idealnej podniosłości, która wszystkim tym utworom, w warunkach niejedności sił i czasu powstałym, nadaje przecież jeden wspólny a stały charakter rzadkiej szczytności.

Tłómacz daje o psalmach objaśnienie w osobnej przedmowie. Najdawniejszym twórcą psalmów ma być Mojżesz. Jemu przypisywany jest psalm według układu kościoła katolickiego LXXXIX; ale zkądinąd wiemy o powątpiewaniach codo tego autorstwa Mojżesza. W przeszłym jeszcze wieku Karpiński ośmielił się psalm ten, nazywany „Modlitwą Mojżeszową“ raczej jednemu z potomków wielkiego prawodawcy Żydów niż jemu samemu przypisać.

Głównym twórcą psalmów jest król Dawid, którego imieniem oryginał oznacza 71 pieśni, czyli całą księgę I-ą według podziału hebrajskiego; nadto 11 przyznaje mu przekład grecki Alexandryjski, a prócz tego, wiele pieśni, niedających się nikomu wyraźnie przypisać, cechę Dawidową na sobie nosi. Dwa psalmy uchodzą za utwory Salomona. Dwanaście napisał albo sam Azaf, kierujący muzyką i śpiewem na dworze królewskim, albo też jego potomkowie. Tyleż idzie na rachunek synów Korego, częstokroć wspominanych w *Psałterzu*; obracali się oni w tej samej sferze, co i Azaf, i byli muzykami na dworze Dawida, który sam, jak wiadomo, bardzo uzdolniony do muzyki, grą na arfie serce Saulowe uśmierzał i podbijał, dopóki nie podbił i jego państwa. Pan Bujnicki nie każe ich wszakże, podobnie jak i Hemana i Etana, uważać za rzeczywistych twórców. Wulgata przypisuje psalm CXXXVI Jeremiaszowi, a CXI, CXLV i CXLVI Aggeuszowi i Zacharyaszowi. Piętnaście psalmów z napisami w oryginale „Pieśń stopniów“, śpiewali Izraelici powracający z niewoli babilońskiej, jak o tem wspomina i tłómacz; nazwa ich właściwie oznacza *pieśni pielgrzymie*, a czas powstania ich nie jest ściśle oznaczony. W ogóle krytyka specyalna, której znakomity przedstawiciel tegoczesny, Tahlhofer, służył tłómaczowi za przewodnika, bardzo jeszcze wiele potu z czoła obetrze, zanim niezawodnie i indywidualnie oznaczy autorów i należące do nich utwory — i wielkie pytanie jeszcze: azali kiedykolwiek tego dokaże?

Wewnętrznie, ze względu na osnowę, psalmy podzielićby można na religijne i polityczno-historyczne; tych ostatnich jest niewiele. Religijne dzielą się według nastroju ducha na: Dziękczynne i wychwalające, Błagalne, Nauczające i Żałośliwe. Gruppa żałośliwych ubolewających lub uskarżających się jest najliczniejszą, bo stanowi jedną trzecią część *Psałterza* mieszczą się w niej sławne Psalmy Pokutne. Kościół chrześcijański wyróżnił z całego zbioru, w pierwszej jeszcze dobie swego istnienia, psalmy Messyaniczne, czyli królewskie, albo prorocze, do spojenia Starego Zakonu z Nowym przeznaczone, psalmy Dogmatyczne i Moralne. Są nadto jeszcze psalmy Syońskie, odnoszące się do Syonu i świątyni.

Pierwszy zebrać miał psalmy Ezdra, nowy Mojżesz Żydów po dniach niewoli babilońskiej. Ale zbiór Ezdraszów nie mógł być jeszcze zupełnym, bo za niego i po nim jeszcze pisano psalmy: one same treścią swą o tem świadczą. Kodyfikacya nastąpiła dopiero w epoce Machabeuszów. Po licznych przekładach greckich i łacińskich w XVI w. kościół ustalił text, porządek i układ ostateczny. U nas dla wyznania katolickiego textem autentycznym Pisma S-go, według Wulgaty Piusa V-go, po Soborze trydenckim zredagowanej, jest przekład Wujka; dla protestantów zaś ostatecznie Biblia Gdańska z roku 1632, wydana już w dniach upadku protestantyzmu. W obu zatem przekładach wiarogodnego textu psalmów szukać należy, jeden drugim wspierając w miejscach wątpliwych. Przekłady te niezawsze zgadzają się ze sobą—a niekiedy nawet silnie od siebie odskakują. Tłómacz starający się o dokładność, źle uczyni, jeśli na gruncie szczelnie wyznaniowym stojąc, na jednym tylko texcie, bądź łacińskim, bądź greckim lub hebrajskim i jednym tylko pomocniczym polskim poprzestanie. Nie wiemy którego głównie textu trzymał się p. Bujnicki.

Ponieważ wypadnie tutaj nieraz wymieniać pojedyncze psalmy według ich liczb porządkowych winniśmy przeto objaśnić, że liczbowanie w hebrajskim, w katolickim i w protestanckim Psałterzu nie jest jednakowe. Z Karpińskiego wiemy, że u Izraelitów psalmy katolickie IX i CXIII rozpadają się każdy na dwa; ale za to znowu CXIV i CXV, oraz CXLVI i CXLVII stanowią dwie tylko osobne pieśni, tak, iż ostatecznie liczba 150 i tu i tam jest jednakowa. Zbliża się do hebrajskiego układ protestancki; nie ma tylko jego podziału na 5 ksiąg. Różnica w stosunku do katolickiego poczyna się wraz z psalmem IX i ciągnie się już przez cały zbiór; psalm np. XXXII protest. jest psalmem XXXI katol.; dopiero trzy ostatnie psalmy zupełnie już sobie odpowiadają w obu textach.

Historya literatury naszej z czcią wymawia nazwę Psalmów Dawida. Najdawniejszy nasz zaby-

tek rękopiśmienny jest spolszczoną pieśnią Dawidową. Nabyte przed półwiekiem do księgozbioru w Medyce rękopismo zawiera przekład psalmu L (kat). Pierwszy p. Maciejowski naznaczył mu zrazu, i w *Piśmiennictwie* swojem stwierdził, jako datę powstania rok 1290; według niego zatem przed sześciu już wiekami przekładano u nas *Psałterz*. Wprawdzie mamy tylko jeden psalm, ale nic nas nie zmusza do mniemania, że na tym jednym wszystko się ograniczyło. Choćbyśmy nawet dla egzemplarza przechowywanego w bibliotece Medyckiej przyjęli datę nieco późniejszą, t. j. taką, jaką przyjmuje p. Maciejowski dla egzemplarza, który posiadał niegdyś Konstanty Swidziński, t. j. środek wieku XIV, to i tak jeszcze wielką otrzymamy dawność dla szacownego piśmienniczego pomnika.

Psałterz Małgorzaty albo *Floryański*, według objaśnienia swego wydawcy, Stanisława Borkowskiego, dla królowej Małgorzaty, żony Ludwika I, w roku 1338 spisany, nosi na sobie ślady dwóch a nawet trzech prac odrębnych i pozwala się domyślać istnienia tyluż mniej więcej całkowitych przekładów (¹).

Po tym zbiorze w następstwie czasu przeszłość przekazała nam *Psałterz królowej Jadwigi*. Wiszniewski z uwagi na panujący w nim język odniósł go do czasów królowej Zofii, czwartej żony Jagiełły (I, 395). Miał go niegdyś u siebie Czacki; Lelewel dwa z niego psalmy (I i II) udzielił Rakowieckiemu, który je w swej *Prawdzie Ruskiej* (II, 212) w zestawieniu z przekładem, o półtora a najmniej o cały wiek późniejszym, Wróbla, wydrukował. Nikt tego psałterza dotychczas należycie nie opisał; nikt też o wydaniu rękopisma, znajdującego się dziś w Bibliotece Paryzkiej, nie pomyślał (²).

Z kolei idzie przekład Biblii Szarosz-patackiej, którą kształt językowy, w jakim do nas doszła, do XV już wieku zaliczyć nakazuje, chociaż ją za *Biblię królowej Jadwigi* uważają.

W roku 1532 przekład Psałterza pierwszy raz zjawia się już w druku w Krakowie. Odtąd wydania mnożą się z każdym niemal rokiem. Jocher (*Obraz bibliograficzny;* II, 21—24) potrzebuje 32 numerów dla wyliczenia wszystkich wydań Psałterza; w Estreichera *Bibl. pols. XV i XVI stulecia*, doliczyliśmy się tylko 10 odrębnych. Wydawano u nas psalmy pojedynczo lub w całych zbiorach; wychodziły psałterze hebrajskie, słowiańskie, nawet węgierskie. Rej podług świadectwa Trzycieskiego zostawił *Psałterz*, dziś zaginiony. *Zołtarz Wróbla* (1539) był długi czas jedną z najpopularniejszych u nas książek i ma bardzo wiele wydań. W r. 1594 wydał swój *Psałterz* Wujek. Po licznych już przekładach samych psalmów zjawiły się biblie Leopolity (1561), Brzeska (1563), później Budnego (1570), Wujka (1599), Gdańska (1632), a w nich i nowe tłómaczenia Psalmów.

Liczne przekłady prozą współzawodniczyły już z sobą, gdy się w roku 1558 zjawił u Wierzbięty, wspaniale wydany, nutami i objaśnieniami opatrzony, przekład Jakóba Lubelczyka, protestanta, naczelnikowi protestantów wielkopolskich Łukaszowi Górce, niefortunnemu mężowi Halszki z Ostroga, ofiarowany. Tu już spotykamy się z wierszem rymowanym: jest to pierwsza próba przyobleczenia myśli poetycznych w artystyczną formę. Poznane z tego przekładu wyjątki pozwalają nam uznać go za coś więcej aniżeli za prosty tylko zabytek przeszłości.

We dwadzieścia lat po Lubelczyku wystąpił Jan Kochanowski z drugim polskim przekładem *Psałterza*, wierszowanym (³). Była to pierwsza jego praca drukiem ogłoszona; ofiarował ją Piotrowi Myszkowskiemu, świeżo biskupem Krakowskim mianowanemu, a przyjacielowi swemu. Psałterz ten w ciągu 63 lat od chwili pierwszego druku 20 wydań się doczekał. Któż nie zna tej księgi czcigodnej? Kto nie podziwiał jędrności i uczuciowości tej mowy, wiązanej w rymy niekiedy śmiałością uderzające, wszelako częściej jeszcze, coprawda, zbyt już dla nas pierwotne, proste, że tak powiemy, naiwne — zbyt często powtarzające się? Pomimo tych rymów jednak Kochanowski zdumiewa w psalmach zarówno łatwością wierszowania jak i tym nastrojem namaszczonej powagi, w którym stale trwać umie, jakkolwiek nieraz, i to znacznie, od textu się oddala. Praca jego przy ogromie swoim ma tak wielkie zalety, że po trzech wiekach jeszcze dziś słusznie za znakomitą jest uważana i nigdy chyba wdzięku swego nie utraci. Są w przekładach Kochanowskiego miejsca wspaniałe; ale w całości panuje pewna nierówność. Przekład trzech z pomiędzy Psalmów Pokutnych, oraz kilkunastu z pozostałych jest rzeczywiście mistrzowskim — i nieprędko pewno literatura nasza podobne arcydzieła posiądzie.

Mijamy Sępa Szarzyńskiego, który sześć psalmów, między innemi CXXXIX, parafrazował. W kilkanaście lat po Kochanowskim na zejściu się wieku XVI z XVII wyszedł nowy przekład całkowity wierszem, dokonany przez Macieja Rybińskiego. Wiszniewski (*Hist. Lit. Pols.* VI, 523 i 4) mówi o pierwszem wydaniu z przed roku 1598; rok ten jest już datą nowego wydania, *znowu przeyrzanego y wydrukowanego* (⁴). Rybiński, podobnie jak Lubelczyk, był protestantem i pracę swą, według współczesnego opracowania francuzkiego uskutecznioną, dla protestantów przeznaczył. Przekład jego miał niesłychaną wziętość i skutkiem odmiennych a bardziej sprzyjających warunków nabożeństwa w kościele protestanckim, większego nawet stosunkowo niż *Psałterz* Kochanowskiego dostąpił rozpowszechnienia. Wiszniewski wymienia w ciągu lat 36 aż 13 wydań; do tych trzynastu dodać jeszcze należy najpierwsze, którego nie znał. Mówi on o Rybińskim, że „wiele psalmów bardzo pięknie przełożył i Kochanowskiego w czystości języka naśladując na wielu miejscach i w poezyi mu dorównał". Chłodny, trzeźwy, mniej od Wiszniewskiego tkliwy na piękno, pan Maciejowski dalej się jeszcze posuwa i przekład Rybińskiego nazywa „*cudnie pięknym*" (*Piś. Pols.* III, 352).

(Dalszy ciąg nastąpi).

(¹) P. Nehring w osobnej rozprawie *Iter florianense* etc. (Poznań 1871) wykazał brak niewzruszonych danych do uważania tego psałterza za własność królowej Małgorzaty i wobec tego doradził nadanie psałterzowi nazwy *Floryańskiego* (od St. Florian, miasteczka w Wyższej Austryi, niedaleko od Enns, gdzie Borkowski rękopismo był odkrył). Wywody jednak p. N. nie osłabiły w niczem prawdopodobieństwa domniemania, że psałterz, w mowie będący, mógł należeć najpierw do Małgorzaty, a potem do Maryi, królewny polskiej i węgierskiej.

(²) Zkądby p. Nehring wziął podstawę do twierdzenia (*Kurs literatury*, str. 12), że *Psałterz Jadwigi* jest rymowany? — dociec trudno: odczytanie 212 i 213 stronicy *Prawdy* wywraca to twierdzenie, o ile się ono odnosić ma do całości zbioru.

(³) Bentkowski mówi o wydaniu z r. 1578, ale go nie opisuje i Jocher też istnieniu jego wątpi, a Estreicher zupełnie je odrzuca, jakkolwiek opis egzemplarza (bez tytułu, drukiem jakoby Łazarzowym) przez pana Przyborowskiego w jego *Wiadomości o życiu i pismach Jana Kochanowskiego* (Poznań 1857) podany, a bardziej jeszcze wykaz bibliograficzny, zamieszczony w pracy Przyłęckiego o Kochanowskim (wyd. Turowskiego), ma wszelkie prawo do tego, aby go przy ostatecznem zawyrokowaniu w kwestyi istnienia wydań wcześniejszych od wydania z roku 1583 uwzględnić. *Psałterz Dawidów* pod numerem 3-m, na str. 211 T. II, l. c. w pracy p. Przyłęckiego, bardzo sumiennej, z tytułu, liczby stronic i drukarni oznaczony — niewątpliwie istniał i istnieje i sądzimy, że przyjmowanie daty 1583 r. jako najwcześniejszej nie zgadza się z prawdą.

(⁴) Estreicher (*B. P. XV i XVI st.*) wcale Rybińskiego Macieja pomiędzy pisarzami XVI wieku nie mieści; nie zna więc nawet tego wydania, które miał w ręku Wiszniewski.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 30 Kwietnia 1878 r.

Wigilia otwarcia Wystawy Powszechnej. — Teatra francuzkie i ich sperandy. — Podróżująca rzesza ciekawych i łapka na nią. Przegląd teatralny z ostatnich czasów. Sardou i jego *Mieszczanie z Pont-Arcy*. — Rozbiór tej sztuki. *Józef Balsamo* Alexandra Dumasa i *Les Misérables* Wiktora Hugo. — Pobieżny rzut oka na oba te dramat, ułożone przez synów tych znakomitych pisarzów. — Teatr Francuzki. — Nowy dramat E. Augiera pod tyt. *Fourchambault*. Rozbiór tej sztuki, kilka uwag o tendencyi i zaletach pisarza i sztuki. — Hektor Berlioz i jego pamiętniki pośmiertne.

(Dokończenie).

Ponieważ powieści *Józef Balsamo*, Alexandra Dumasa i *Les Misérables*, Wiktora Hugo, znane są całemu światu, to mię uwalnia od szczegółowego rozbioru dramatów przedstawionych w ostatnich czasach w Odeonie i Teatrze de la Porte St. Martin. Autorami dramatów są synowie tych znakomitych pisarzów, a sztuki, którym powieści wspomniane posłużyły nietylko za osnowę, ale za całość użytych do ich budowy materyałów, nie noszą na sobie innego piętna prócz tego, jakie się im dostało w spuściźnie po wielkich pierwotnych ich twórcach.

Ten rodzaj przyswajania dla teatru dzieł przeznaczonych do czytania i do rozwoju epizodycznego w powieści — ma swoje szkopuły i prawie nieuniknione niedostatki i wady. Pomimo niesłychaną swą pewność oka i pióra, pomimo zadziwiający swój talent pisarski i wielkie doświadczenie w tej mierze, Alexander Dumas syn, wyprowadzając na scenę *Józefa Balsamo*, nie potrafił lepiej od innych ominąć trudności tego przedsięwzięcia. Ktoby nie znał powieści ojca, dla tego dramat syna byłby rzeczą dość ciemną, bo złota nić opowiadania, której tak biegle używał stary Dumas, usunięta z pomiędzy tych, koleją idących po sobie, obrazów i obrazków społeczności francuzkiej z czasów Ludwika XV, uniosła z sobą i cały urok zmyślonej baśni opowiadania. Niemogąc uderzyć wprost do myśli i serca słuchaczy, Al. Dumas syn postanowił zawładnąć ich wyobraźnią i przez oczy wkraść się do duszy; cała więc sztuka napisaną została w celu teatralnej wystawy, to jest dekoracyj, kostiumów i wszelkich sposobów złudzenia, jakiemi się posługuje scena. Sama zaś rzecz, to jest prawdziwy dramat, bardzo szczupłe i liche zajmuje miejsce i jest sprowadzony do prostego opowiadania i, jak to się praktykowało dawniej w starych tragedyach, tak zwanych klassycznych, do opowiadania wypadków przez trzecią osobę. Tu obowiązek ten spełnia jasnowidząca. Dzięki talentowi aktorki, a szczególniej aktora (Lafontaine'a), występującego w roli Balsamo, opowiadanie to ma pewien urok, jakgdyby rzeczywiście wpływ nadprzyrodzonej jakiejś siły i na słuchaczy działał. Dokładność kostiumów i dekoracyj jest wspaniała w istocie i daje to złudzenie, które publiczność lubi i którem się cieszy jak dzieci, zaprowadzone do czarnoksięzkiej latarni.

Jeżeli to prawda, co rozgłaszają przyjaciele Dumasa syna, że dramat ten jest początkiem wielkiej trylogii, którą przygotowuje znakomity ten pisarz dramatyczny w celu pokazania prawdziwego niby początku i źródła zkąd wyszła *Rewolucya Francuzka 1789 r.*, a której drugim obrazem ma być *Naszyjnik królowej*, — sławny w swym czasie proces o skradzione brylanty — to żałowaćby należało, iż pisarz tak zdolny, tak silnie utalentowany, tak biegle zgłębiający rany i choroby dzisiejszej społeczności swojego kraju, zostawia to pole odłogiem i rzuca się na manowce niegodne ani jego talentu, ani jego zasługi. Chcieć sprowadzić główną, zasadniczą przyczynę takiego moralnego zjawiska, jakiem była *Wielka Rewolucya Francuzka*, do wpływu, jaki mogli wywierać na pewną cząstkę społeczności szarlatani w rodzaju Józefa Balsamo — byłoby to chcieć dowieśdź, że dziwne i fantastyczne powieści Dumasa ojca są rzetelnym obrazem epoki i społeczeństwa owego czasu — jednem słowem, że te powieści nietylko są historycznemi romansami, ale nawet samą historyą! Miejmy nadzieję, że do tego nie przyjdzie.

Toż samo można powiedzieć i o *Nędzarzach* Wiktora Hugo z tą jednak różnicą, że w sławnym romansie wielkiego poety panujący chaos odbił się w sztuce z całą wyrazistością swoich wad, ale też i z całym blaskiem tych zalet, któremi je ozłocił niezrównany talent pisarza. Nie jest to właściwie ani dramat, ani sztuka teatralna w ścisłem znaczeniu, jakie my przywiązujemy do tych wyrażeń i do tych utworów. Jestto raczej powrót do dzieciństwa sztuki teatralnej, do misteryów średniowiecznych, gdzie zbiór odrębnych obrazów, następując po sobie bez innego związku nad główną przewodnią myśl, postawioną jakby założenie nazewnątrz tej kollekcyi obrazów, przywiązywał uwagę widzów za pomocą straszliwych lub bolesnych sytuacyj lub pięknie wyrażonych uczuć. Niezwykła przytem rozciągłość tej sztuki, która potrzebuje sześć do siedmiu godzin czasu dla swej reprezentacyi, jest powodem straszliwego znużenia, które musi nakoniec złamać najpilniejszego słuchacza. Są to straszliwe próby, a gdyby mogły posłużyć do odwró-

cenia innych z tej niebezpiecznej drogi, stałyby się prawdziwą zasługą dla tych, którzy pierwsi otwarli to pole.

Jeżeli znane publiczności dzieła Dumasa (ojca) i W. Hugo, pozwoliły mi usunąć na stronę wszelki rozbiór dwóch dramatów, zlepionych z tych olbrzymich resztek—to mówiąc o sztuce pana Emila Augiera, zmuszony jestem wrócić do analizy, której wymaga i ważność dzieła i znakomity talent pisarza. Ażeby osądzić sprawiedliwie jak pisarz odpowiedział swojemu zadaniu, na to potrzeba koniecznie wiedzieć, jakim jest skład, budowa i wykonanie dramatu. Tutaj wszystkie wogóle dzienniki jeden tylko miały okrzyk tryumfu dla autora: *Hosanna!* Tego niedosyć: wypowiedzmy osobiste przekonanie o sztuce.

Aby się wytłómaczyć zrozumiale i jasno, zacznijmy od rozbioru dramatu. Rzecz dzieje się w Hawrze; przy rozpoczęciu sztuki jesteśmy u przedsiębiercy morskiej żeglugi, których tu nazywają *Armateurs*, nazwiskiem Bernard. Jest to człowiek młody jeszcze, silny, zdrów, trochę ponury, szorstki, ale w gruncie mający najlepsze, najszlachetniejsze serce. Mieszka on z matką swoją, kobietą smutną, schorzałą, nietyle starą latami, ile zestarzałą cierpieniem i zawsze w żałobie. Kilka słów zamienionych z synem na początku dramatu oświecają słuchacza: zkąd pochodzą i te wieczne smutki i ta wieczna żałoba?

Bernard jest synem naturalnym tej kobiety. W młodości matka jego zmuszona pracą zarabiać na życie, w jednym z domów, gdzie dawała lekcye fortepianu (zawsze też same lekcye!), spotkała młodego człowieka, który, zakochany w niej i kochany przez nią, porzucił nieszczęśliwą uwiedzioną ofiarę i uciekł jak wierutne ladaco. Za każdą razą, kiedy syn tej kobiety słyszy powtarzaną historyę tej zbrodni, zaciska pięści i mruczy ponuro na zdradę, na podłość nikczemnika... „O! gdybym, powiada, dostał go w me ręce!“ „Upamiętaj się dziecko moje—powiada matka—mówisz o twoim ojcu“. Biedna kobieta, dobra, kochająca, pomimo wszystko pozostała wierną dawnemu wspomnieniu. W jej oczach zwodziciel mniej był występnym, niźli się zdawać może. Był to człowiek dobry, poczciwy, ale słabego charakteru. Aby go oderwać od niej i ożenić bogato, rodzice nie wahali się go oszukać. Napadnięto go zewsząd, starano się wmówić weń, że był igraszką kobiety płochej, która go oszukiwała, zdradzała, a kiedy przyszło do zerwania, ona sama przez dumę odmówiła mu udowodnienia swojej niewinności. Jednem słowem, źli ludzie, kwasy, nieporozumienia, sprowadziły ostateczne zerwanie.

I oto w chwili, kiedy z największą czułością, z największą delikatnością, półsłowem i półgłosem, ta biedna matka usiłuje przejednać gniew syna i zbliżyć go ku tkliwszym uczuciom dla tego ojca, którego on nie zna i nigdy zapewne znać nie będzie — w tej chwili właśnie przychodzi wiadomość, że Fourchambaultowie, największy dom bankowy w Hawrze, są zmuszeni zawiesić swoje wypłaty. „Dzięki Bogu—powiada Bernard, nie mam u nich ani grosza moich pieniędzy“; a matka ze łzami w oczach mówi: „Biedni ludziska!“ „Ej! dajże pokój, odpowiada Bernard. Nie są przecież tak bardzo godni politowania ci Fouchambaultowie. Człowiek-to, jak miękuszka z chleba, którą urabia w swych palcach jak chce, żona kobieta, zła i głupia... Syn ich Leopold, to stajenny panicz. Córka ich Blanszetka, indyczątko próżne i lekkie, zapominając przyrzeczeń danych memu przyjacielowi Wiktorowi Chauvetowi, gotuje się wyjść za mąż, za młodego Rastiboulois'a, dlatego tylko, że baron, syn prefekta, zdechlaczek bezzębny i łysy... Nie litujmy się nad tymi ludźmi, matko: spadło na nich to, na co zasłużyli“... „Otóż, dziecko moje, ja z całego serca żałuję p. Fourchambaulta i proszę cię, błagam, abyś mu przyszedł w pomoc!“ Na to się Bernard oburza,—wszak to przynajmniej trzykroć sto tysięcy franków może ich kosztować ten występ szlachetności! Matka w największem poruszeniu zrywa się z miejsca. „Trzykroć czy pięćkroć, mniejsza o to—woła,—musi tak być, jak ja chcę i ty musisz to zrobić“. „A więc, to on mój ojciec!“ Tak odpowiada gasnącym głosem matka...

Zapewne jestto poruszająca scena, umiejętnie przygotowana i spełniona. Jestto jakby uderzenie piorunu, chociaż tak mało podobne do prawdy. Bernard nie waha się dłużej. Za pomocą własnego kredytu i wpływu, niedając wcale się poznać, ocala tego ojca, którym przecież pogardza, pomimo ten związek krwi, który ich łączy. Raz jeden dopełniwszy tego obowiązku, wyratowawszy ojca z otwartej przepaści niesławy, Bernard pragnie więcej jeszcze: pragnie uszlachetnić i na poczciwą sprowadzić drogę tę rodzinę, która miała ongi stać się własną jego rodziną; pragnie wydać Blanszetkę za mąż, według własnego jej serca i pomimo próżnej główki; pragnie wyrwać ojca zpod panowania wszechwładnej a głupiej żony. A kiedy wśród tych trudności i zawikłania, zdaje się widzowi, że oto już się zbliża rozwiązanie sztuki, autor, przeciwnie, w nagłym i niespodziewanym zwrocie, rzuca się w innym kierunku i pociąga za sobą uwagę publiczności z większą niż dotąd siłą. Na tym gruncie, tak przygotowanym, na tej wrzącej namiętnościami powierzchni społeczności, walącej się w ruinę zepsuciem i brakiem moralnej zasady, autor wyprowadza do walki dwóch braci rywali.

Stara to i zbita już klisza teatralna, ciekawa przecież ze względu, jeżeli nie na nowe powody i nową formę tej walki, to ze względu na nowe rozwiązanie, które dla niej wymyślił autor i nad którem publiczność i krytyka tutejsza unosi się niezmiernie.

Panie Fourchambaultowe mają w swym domu jako pannę respektową i towarzyszkę Blanszetki, Maryę Lepelletier, sierotę Kreolkę, która szczególnie obchodzi Bernarda. Położenie tej sieroty, zależnej od ludzi obcych, pozbawionej rodzinnych stosunków — położenie smutne a pełne wytrwania, przypomina mu położenie własnej jego matki. Taką musiała być ona niegdyś w dwudziestym roku życia. A że też same przyczyny mogą i muszą sprowadzać też same skutki, domyśla się więc straszliwego dramatu, który zaczynając się od pokusy i złoconych sideł, skończy się na opuszczeniu i niesławie. Bernard więc postanawia zmienić to smutne rozwiązanie pokątnych miłostek i, dzięki jego energicznemu wpływowi, Fourchambault syn, nie opuści tak podle swojej kochanki, jak to uczynił Fourchaumbault ojciec. — Wskutek powagi i wpływów na rodzinę bankiera, jakie mu nadały ostatnie wypadki, Bernard postanawia działać stanowczo i wzywa do siebie Leopolda. Jestto główna i kapitalna scena sztuki, wykonana z wielkim wigorem. Tłumiąc gniew, w którym czuć jego przywiązanie dla panny Lepelletier, Bernard tak się odzywa do młodego Faurchambaulta: „Skompromitowałeś tę młodą dziewczynę... Winieneś jej naprawę. Co zamierzasz robić?“ Leopold się broni przeciw zarzutom zwodzicielstwa. Prawda, iż się trochę umizgał do panny, ale pod słowem honoru wyznaje, że ich stosunek jest tak czysty i niewinny, jak stosunek brata i siostry, a ztąd żadnego niéma powodu ani do naprawy, ani do uczynienia zadość wymaganiom urojonym i płonnym. „Zdajesz się mówić szczerze—odpowiada Bernard—gotów jestem ci wierzyć, ale świat temu nie uwierzy bynajmniej. Twoje nadskakiwania tej młodej dziewczynie przyniosły zakałę jej dobrej sławie. Zmuszona opuścić dom swojej matki, nie znajdzie miejsca nigdzie. Cóż się z nią więc stanie, jeżeli nie zechcesz jej poślubić?“ „Ja miałbym poślubić Maryę?!“ „A czemuż nie? Piękna jest, bogata. Nie śmiej się Leopoldzie: panna Lepelletier jest bogatą—trzykroć sto tysięcy posagu“. „A ten posag, możesz-że mi pan powiedzieć, zkąd się jej dostanie?“ widząc zaś, że się Bernard waha: „A to ślicznie ze strony kochanego pana! Widzę, że kochanki swe wyposażasz, szczodrze, po królewsku — ale co do mnie, ja się nie podejmuję wcale żenić się z niemi“. Na to Bernard zostaje chwilę jakby osłupiały, a nakoniec w chwili okropnego wybuchu: „O! — woła, — tyś prawdziwy Fourchambault, łgacz i potworca, jak twój rodzony dziadek! „Zaledwie Bernard tych słów dokończył, kiedy Leopold rzuca się nań jak wściekły i rękawiczką go w twarz uderza. „Szczęście twoje, żeś mój brat!“ — woła drżący z gniewu i oburzenia Bernard.

Muszę wyznać, że effekt sceniczny tych kilku słów jest niezmierny; jest to powtórne i silniejsze niż pierwsze uderzenie piorunu. Spektatorowie wzburzeni są jak morze wśród nawałnicy. Widocznie autor trafił do serca swych widzów.

Fourchambault ochłonął, a kiedy dowiaduje się nakoniec, kto jest Bernard i jaka przeszłość jego matki, jak przeważnie jej szlachetne wdanie się oddziałało na ocalenie ich honoru i majątku, wówczas zalewa się łzami i, zginając kolano, woła do Bernarda: „Bracie mój, przebacz!“ Ten go podnosi i nadstawiając uderzony policzek, jedno tylko wymawia słowo: „Zetrzyj! (Efface)“—i dwaj bracia rzucają się sobie w objęcia. Tu jest prawdziwy koniec dramatu i sztuki. Reszta tego piątego aktu jest tylko dopełnieniem stworzonem raczej dla czytelnika aniżeli dla widza. Dowiedzieć się po tem, co zaszło pomiędzy braćmi, że panna Lepelletier odrzuciła ofiarowaną jej rękę Leopolda, że siostra Leopolda wychodzi za Chauveta, że nakoniec Bernard żeni się z panną Lepelletier, mówiąc do matki: „Ta dosyć wycierpiała w życiu i będzie cię kochać równie jak ja cię kocham!“ — jest to zajmujące dla czytelnika dramatu, ale obojętne zupełnie dla widza.

Nie nowy to, jak powiedzieliśmy, przedmiot dla teatru, ale, ujęty potężnie, nowym się staje za pomocą talentu, z jakim nietylko część sceniczna, ale nadto i część literacka sztuki jest traktowaną przez znakomitego pisarza. Widzieliśmy dramat w całym jego rozwoju; dodajmy, że jeśli są sceny i sytuacye, którym brak prawdy w znaczeniu zwyczajnego życia, to przynajmniej osoby są zawsze logiczne, naturalne i w ludzkiem będące ciele. Osoby te przytem mówią językiem wielkiej czystości i niezmiernej siły, co wcale nie szkodzi nawet i w teatrze. We wzniosłej i pięknej francuzkiej prozie zamknął autor tę wspaniałą całość; trzeba mu być wdzięcznym za ten nowy dowód, że, szukając potężnych wzruszeń, potrafił je znaleźć nietylko w akcyi, w działaniu, tej pierwszej dźwigni scenicznej, ale i w potędze słowa, co niezawsze i niekoniecznie ze sobą idzie w parze.

Ze czterech więc głównych utworów, które czekają na ciekawe tłumy cudzoziemców na tak ponętnych deskach scen paryzkich, najlepszą sztuką pod każdym względem jest dramat Emilia Augiera. Zapewne, że niezrównana gra artystów Teatru Francuzkiego podnosi jeszcze zalety dzieła—zapewne; ale mam to przekonanie, że nawet w tłómaczeniu i u nas dramat ten sprawi niezmierny effekt.

Zamykając ten list i nieopuszczając obrębów sztuki, dodam słów kilka o nowej książce jednego z najznakomitszych kompozytorów francuzkich, o wydaniu pośmiertnem pamiętników Hektora Berlioza.

Zawsze jest to rzecz ciekawa śledzić rozwój człowieka wyższej wartości, od jego pierwszych kroków w życiu. Otóż w liczbie znakomitych artystów naszego półwiecza, którym życie nie stało się kwiecistym kobiercem, na pierwszem miejscu można postawić kompozytora francuzkiego, Hektora Berlioza. Trudno-by znaleźć egzystencyę kłopotliwszą i pełniejszą naprzemian nadziei i rozpaczy. Talent męczony bez ustanku gorącą żądzą dojścia do najwyższej doskonałości w swej sztuce; umysł, szukający ciągle oryginalności, której muzyk nie posiadał w duszy; serce pragnące chwały i fortuny: oto są promienie tego koła, w które był wlepiony ten prawdziwy Ixion naszego czasu. A przecież, jeżeli nie dano mu było pościąść tego wszystkiego w zupełności, w części dostało mu się przecież wszystkiego tyle, iż to mogło zaspokoić wielu bardzo ludzi. Ale jemu to zdało się niczem; nie umiał on, czy nie chciał, poznać się na tem: w życiu więc znalazł gorycz przedewszystkiem. Berlioz był nietylko znakomitym kompozytorem, ale jeszcze jednym z najlepszych prozaików francuzkich. A ci, którzy pamiętają *Journal des Débats* przed dwudziestu laty nie zapomnieli zapewne z jakim dowcipem i blaskiem pisany był przegląd muzykalny Berlioza. Otóż teraz wyszły u Lévy'ego jego pamiętniki w dwóch tomach. Są to prawdziwie osobiste pamiętniki, w najściślejszem znaczeniu słowa „osobiste“. Sam Berlioz zajmuje w nich i odegrywa najważniejszą rolę; inne osoby i wypadki występują jako rzeczy dodatkowe. Czy jest to wadą, czy zaletą? nie śmiem o tem wyrokować; powiem tylko, że w życiu każdego człowieka nie inaczej się dzieje: przedewszystkiem nasze własne *ja* zajmuje nas i dotyka najbliżej. Lu-

dzie i wypadki zewnętrzne zastosowują się tylko odpowiednio do tego, jaki wpływ wywarły na nasze życie lub jaki nacisk odebrały od nas, ale nie przenikają nigdy tak głęboko do naszego wewnętrznego bytu, aby w nim miały zająć wszechwładne panowanie nad naszą wolą, chęcią, dążeniem. Pamiętniki wogóle z tego kreślone punktu więcej daleko mają wagi niż owe zajmujące się jedynie zewnętrznem życiem, zwłaszcza jeżeli autor tych pamiętników jest znakomitym człowiekiem.

Y

Z DZIAŁU PRZYRODY

przez

Prof. Dr. Karola Jurkiewicza.

Zużytkowanie szwajcarskich lodowników. — Towarzystwo Grindelwaldzkie i exploatacya lodu.—Handel tym produktem. - Stół zastawiony przez przyrodę dla jej stworzeń.—Współbiesiadnicy i pasożyty.—Człowiek-żywiciel krwią własną.—Zwierzęta chlebodawcy. - Dzieje żywota tasiemców.—Mięso węgrowate i jego skutki. — Kołowacizna owcza. - Skutki racyonalnej hygieny w Szwajcaryi. — Choroba miejscowa w Islandyi i Abissynii.—Trychiny.—Pasożytnictwo jako odwieczne prawo harmonii świata.

(Dalszy ciąg).

Niéma podobno zwierzęcia, któreby swych pasożytów nie miało. Sam nawet człowiek świadczy gościnność licznemu ich zastępowi, karmiąc go własną krwią i własnem ciałem. Jedne pasożyty gnieżdżą się w naszej skórze, inne sadowią się wewnątrz organizmu. Pewne z nich właściwe są mianowicie dziecięcemu wiekowi, inne znowu dorosłym raczej. Nazwisko jednych strachem nas przejmuje, kiedy o drugich, ukrytych gdzieś w jakimś ciała naszego zakątku, często wcale nie wiemy nawet. Kogóż wreszcie obchodzi naprzykład taki drobniuchny i niewinny pajączek, jak trądzik *(Simonea)!*—a jednak wszyscy prawie nosimy go na skrzydełkach nosa. Na tuziny liczyć można pasożyty nasze, a w niektórych krajach obecność w organizmie niektórych z nich, i to najstraszniejszych, uważa się za oznakę zdrowia. Abissyńczyk uważa się wtedy za zdrowego, kiedy ma jednego lub kilku soliterów. Ze zwierząt, którym człowiek mimowolnie daje gościnę, miewamy przedewszystkiem: cztery rozmaite gatunki *tasiemców* czyli *soliterów*, mieszkających w kiszkach; trzy albo cztery *motylice*, sadowiące się w wątrobie, kiszkach lub we krwi; dziewięciu albo dziesięciu *wałeczników* czyli glist okrągłych w przewodzie pokarmowym lub mięśniach. Kilka również tasiemców w młodocianym okresie swego życia, jako *węgry*, *wodnice*, *hydatydy*, obierają sobie schronienie w zamkniętych częściach ustroju ludzkiego: w gałce ocznej, w jamach mózgowych, w sercu lub w tkance łącznej. Krwią swoją żywimy dalej trzy albo cztery gatunki: pchły, pluskwę, dwa pajączki — nie mówiąc już o pewnych niższych organizmach, gnieżdżących się w osadzie mułowatym, pokrywającym zęby lub w śluzie błon wyściełających wnętrze naszego ciała.

Niewszystkie pasożyty przez całe życie korzystają z gościnności człowieka. Są pomiędzy niemi, podobnie jak między współbiesiadnikami, i takie, które w młodości pędzą swobodne, niezależne życie, a dopiero w dojrzałym wieku osiedlają się stale. Do takich naprzykład należy pewien pasożyt zwykłego okonia. Kiedyindziej znowu, samica jedynie jest stale przytwierdzonym pasożytem, kiedy samiec swobodny, od czasu do czasu tylko, napawa się krwią żywego jestestwa. Tak samica *tungi* albo *pchły drążącej* (Pulex penetrans), żyjąca w Ameryce południowej, wdrąża się jedynie w skórę na pięcie człowieka, a odwłok jej wypełniony jajami, rozdyma się do tego stopnia, że gorset i głowa wydają się przy nim jakiemiś jedynie szczupłemi dodatkami. Owady znowu z rodziny *gąsieniczników* (Ichneumonidae) i *rączycowatych* (Tachinariae) są, przeciwnie, w dojrzałym wieku swobodnemi. Pierwsze, o ciele wysmukłem, wydłużonem, z drgającemi nieustannie gazowemi skrzydełkami, mają na końcu odwłoka długi jajowód w postaci świdra, którym nakłuwają ciało muchy i składają w nie jaja. Liszki z jaj tych wylęgnięte pożerają powolnie wnętrzności ofiary, nietykając z początku niezbędnych do życia jej organów. Tym sposobem łono nieszczęśliwej muchy jest współcześnie kolebką, ochronką i śpiżarnią dla pasożyta, który, doszedłszy w niem do dojrzałości, kiedy mu skrzydła już wyrosną, przegryza naostatek próżną już powłokę swego żywcem pożartego opiekuna i ulatuje swobodnie w powietrze.

Inne znowu *błonkoskrzydłe*, jak *Cerceris bupresticides*, napadają na świetnego chrząszcza z rodzaju *Bogatków* (Buprestes), wynajdują w jednej chwili najsłabszy punkt w grubym a lśniącym barwami złota, szmaragdu lub szafiru jego puklerza, przez ukłucie żądłem wszczepiają jad subtelny usypiający ofiarę, którą zanoszą do swej podziemnej kryjówki; tam gromadzą w ten sposób odpowiednią ilość pożywienia dla przyszłego swego potomstwa, a wtedy zamykają szczelnie podziemie i są pewne, że dzieci po wykluciu się z jaj znajdą w uśpionych bogatkach dostateczną ilość karmi, aż do zupełnego swego rozwoju.

Dożywotni pasożyt sadowi się na stałe w łonie swojej ofiary, a opuszcza ją wtedy tylko, kiedy pod inną znowu postacią przenosi się na drugie jestestwo, by znowu żyć jego kosztem. Takiemi są po większej części *wnętrzniaki*, a między niemi tak zwane, choć niewłaściwie (bo i kilka ich lub kilkanaście współcześnie być może), *solitery*, zamieszkujące w kiszkach człowieka i bardzo wielu źwierząt. Robaki te, o ciele spłaszczonem, do tasiemki podobnem, a ztąd *tasiemców* miano noszące, mają bardzo małą główkę, opatrzoną czterema przysawkami i podwójnym wieńcem haczyków, cieniuchną, ale wyraźnie stawowatą szyję, i nakoniec ciało złożone z mnóstwa pierścieni, z których każdy jest oddzielnym i zupełnym osobnikiem, połączonym jedynie z sąsiadami i stanowiącym z niemi jedną wspólną kolonię.

W młodocianym swym okresie życia robaki te całkowicie odmienną posiadają postać i odbywają szereg przemian, wędrówek, zanim *tasiemcami* się staną, to jest jestestwami dojrzałemi, zdolnemi do wydania potomstwa. Szczególne dzieje ich życia następujący odbywają przebieg: kiedy jeden z pierścieni solitera oddziela się w kiszkach człowieka i wyjdzie nazewnątrz, to wtedy przepełniony jest dojrzałemi już jajami w ilości niepoliczonej, a trwałemi do nieuwierzenia. Przez całe lata, a nawet, jak p. van Beneden utrzymuje, przez całe wieki, opierają się one wpływowi zimna, gorąca, nadmiernej suszy czy wilgoci, najsilniejszym, jakby się zdawało cieczom, jak alkoholowi, kwasowi chromowemu i t. p. Wyraźnie przyroda obdarzyła je szczególną wytrzymałością wobec niezliczonych okoliczności zagłady, na jakie wystawione być mogą. W istocie, tysiące, miliony ich może marnieją, ale jedno już z nich natrafiwszy na warunki sprzyjające rozwojowi, wszelkie utraty z lichwą wetuje i wystarcza do uwiecznienia swego gatunku.

Młode jestestwo, rozwijające się z jaja, jest z początku owalną, przezroczystą kulką, złożoną z galaretowatej massy, zwanej *zarodzią* (sarkodą albo protoplazmą), bez śladów mięśni czy nerwów, ale kurczliwą we wszelkich kierunkach. W środku jej spostrzedz można sześć bardzo ostrych haczyków. Dwa z nich, środkowe, prawie proste, leżą bardzo blizko obok siebie, tworząc niejako ostrze nożyka albo sztyletu i mogąc się poruszać w tył i naprzód. Po obu bokach leżą cztery inne haczyki krzywe, parzysto ułożone, które również w tył i naprzód pochylać się mogą, a tym sposobem nadają całemu ciałku i środkowemu sztyletowi ruch odpowiedni, zapomocą którego ów sztylet może nacinać, i nacina rzeczywiście, tkanki zwierzęce, w które wnętrzniak dostać się pragnie. Dostawszy się tam, otorbia się on, to jest otacza błoną pęcherzykowatą; w niej postać swą zmienia, zrzuca pierwotne haczyki a na ich miejsce dostaje podwójny wieniec, złożony znowu z liczniejszych i mocniejszych haczyków niż poprzednie. Haczykami temi przytwierdzi się ta nowa postać robaka, stanowiąca już teraz szyjkę z główką wyraźną, do błony śluzowej przewodu pokarmowego zwierzęcia, które ją połknie. Torebka wtedy otaczająca wnętrzniaka zeń spada, a zawarte w niej jestestwo przyczepia się do ścian żołądka nowego swego gospodarza i dosięga zupełnej swej dojrzałości.

(Dokończenie nastąpi).

HISTORYA ZBRODNI

TOM II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięztwo.

(Dalszy ciąg).

Słyszano odległe strzały. Wojsko od rogu ulicy Ś-go Eustachego, przysyłało im co trzy minuty kulę jakgdyby z ostrzeżeniem:

„Jestem tu“. Mimoto nie przypuszczali, iż przed ranem ich zaatakują.

Takie zaś rozmowy toczyły się pomiędzy nimi:

— Chciałbym mieć wiązkę słomy—mówił Charpentier—bo zdaje mi się, że tej nocy tu odbędziemy nocleg.

— Mógłżebyś zasnąć?—spytał go Sarre.

— Naturalnie.

Usnął też rzeczywiście w kilka minut później.

W tej sieci ciemnej uliczek przeciętych i barykad, obleganych przez wojsko, dwóch handlarzy win trzymało sklepy otwarte.

Więcej tam jednak skubano szarpij aniżeli pito wina.

Drzwi jednego z tych sklepów, wchodziły właśnie w sam środek pomiędzy obiema barykadami ulicy Petit-Carreau.

Wisiał tam zegar, według którego kierowano się przy zmianie placówek. W tyle sklepu zamknięto dwa indywidua podejrzane, które się chciały przyłączyć do walczących.

Ambulans urządzono w sąsiedniej sali. Tam leżał ów szewc raniony.

Drugi ambulans urządzono na przypadek, na ulicy Cadran.

Około wpół do dziewiątej wieczór, zbliżył się jakiś człowiek do barykady.

Poznał go Sarre.

— Dzień dobry Dyonizy—rzekł.

— Nazywaj mnie Gastonem — odparł ten co przybył.

— Dla czego?

— Dla tego.

— Czy jesteś swoim bratem?

— Tak, jestem swoim bratem. Dzisiaj.

— Dobrze. Dobry wieczór ci Gastonie.

Był-to Dyonizy Dussoubs.

Blady był, spokojny i krwawy; bił się już rano. Kula na przedmieściu Ś-go Marcina dotknęła jego piersi, ześliznęła się po jakiejś sztuce monety, którą miał w kamizelce i zdarła tylko skórę. Miał to szczęście, że go kula tylko zadrasnęła. Był to niby pierwszy szpon śmierci. Miał na głowie kaszkiet, bo kapelusz zginął mu w barykadzie, na której się bił, a jakąś kapotą, kupioną u tandeciarza, zastąpił swoje przedziurawione palto.

Jakim sposobem mógł dojść aż do barykady Petit-Carreau? Sam nie wiedział. Szedł prosto przed siebie. Prześlizgiwał się z ulicy w ulicę.

Przeznaczenie prowadzi skazanych przez siebie za rękę—wprost do ciemności.

Kiedy wszedł na barykadę, usłyszał hasło: Kto idzie? — Rzeczpospolita! zawołał. Pytano Sarre'a: Kto to taki?—To ktoś—odpowiedział Sarre.

I dodał:

— Dopiero było nas tylko sześćdziesięciu, teraz jest nas stu.

Wszyscy skupili się około nowoprzybyłego. Sarre odstąpił mu dowództwa.

— Nie—odparł—nie znam się na taktyce barykad. Byłbym złym dowódzcą, ale jestem dobrym żołnierzem. Dajcie mi strzelbę.

Wszyscy usiedli na kamieniach. Dyonizyusz

opowiedział im walki na przedmieściu Ś-go Marcina. Sarre opowiedział mu walki na ulicy Ś-go Dyonizyusza.

Tymczasem generałowie przygotowywali ostatni atak, to, co margrabia de Clermont-Tonnerre nazwał w roku 1822 *le coup de collier*, a co książe de Lambèse nazwał w r. 1789 *le coup de bas*.

W całym Paryżu ten tylko jedynie punkt stawiał opór. Ten węzeł barykad, ta sieć ulic karbowana jak reduta, stała się ostatnią cytadellą ludu i prawa. Generałowie otaczali ją zwolna, krok w krok i to ze wszystkich stron. Skupiano siły. Ci walczący w tej fatalnej godzinie nie wiedzieli nic o tem, co się naokoło nich działo. Tylko czasami przerywali swe opowiadania i nadsłuchiwali. Z prawej, z lewej, z przodu, z tyłu, ze wszystkich stron naraz, dochodził do nich wśród nocy, szmer jasny, coraz wyraźniejszy, chropowatszy i straszniejszy. To bataliony szły naprzód do ataku przy odgłosie trąbki, ze wszystkich ulic sąsiednich.

Zaczynali więc znowu przerwaną gawędkę, potem znowu zatrzymywali się i nadsłuchiwali tego niby piekielnego śpiewu, śpiewanego przez zbliżającą się śmierć.

Niektórzy jednak ciągle byli przekonani, że atak nastąpi dopiero nazajutrz rano, bo walki nocne na ulicach bywają rzadkie. Są one dziełem przypadku; dlatego mało generałów chce się na nie odważyć.

Lecz pośród starszych walczących na barykadzie nie łudzono się, że atak nastąpi natychmiast.

Rzeczywiście, około wpół do jedenastej wieczorem, a nie o 8, jak twierdził Magnan w swym nędznym raporcie — szczególny ruch rozwinął się od Hall. To wojsko poruszało się. Pułkownik de Lourmel zdecydował się na atak. Pułk 5 liniowy, stojący na rogu ulicy Ś-go Eustachego, wszedł na ulicę Montorgueil. Drugi batalion tworzył awangardę. Grenadyerzy i woltyżery zdobyli biegiem trzy drobne barykady, będące poza pasem ulicy Mauconseil i barykady słabo bronione ulic sąsiednich.

Z barykady Petit-Carreau słyszano walkę nocną zbliżającą się po ciemku z hałasem przerywanym, dziwnym a straszliwym, niby głośnych okrzyków, potem ogień plutonowy, potem milczenie, i znowu hałas.

Błysk wystrzałów ukazywał nagle ukryte w cieniu fasady domów, które wyglądały jakby przestraszone.

Nadeszła stanowcza chwila.

Placówki ściągnęły się ku barykadzie. Warty przednie na ulicach Cléry i Cadran wróciły także. Policzono się wzajemnie. Nie brakło ani jednego z tych, co przybyli rano.

Było wszystkich, jak się rzekło, około sześćdziesięciu walczących, a nie stu, jak doniósł raport Magnana.

Patrząc z tego końca ulicy, na którym się oni znajdowali, trudno było wiedzieć co się naokoło dzieje. Nie wiedzieli też na pewne, ile było barykad na ulicy Montorgueil pomiędzy ich barykadą a rogiem ulicy Ś-go Eustachego, z którego się rzuciło wojsko. Wiedzieli tylko, że punktem oporu najbardziej ku nim zbliżonym, jest podwójna barykada Mauconseil, i że gdy się tu wszystko ukończy, przyjdzie wówczas kolej na nich.

Dyonizyusz usadowił się na odwrotnej stronie wnętrza barykady, tak, iżby połową ciała przewyższyć jej wierzchołek—i ztąd obserwował. Odblask, padający przez drzwi handlu win, pozwalał widzieć ruchy.

Nagle dał znak. Atak zaczął się od reduty Mauconseil.

Żołnierze rzeczywiście, zawahawszy się czas jakiś, przed tym podwójnym murem bruków dosyć wysokim, dobrze zbudowanym, o którym przypuszczali, że jest dobrze broniony,—rzucili się naraz nagle, zaczynając od wystrzałów.

Nie omylili się: barykada dobrze była bronioną. Mówiliśmy już, że było na niej sześciu tylko ludzi, sześciu robotnikow, którzy ją wystawili. Z tych sześciu, jeden tylko miał trzy kule, inni po dwie.

Tych sześciu słyszało kroki zbliżającego się batalionu i turkot kół armatnich — a nie cofnęło się. Każdy z nich wytrwał w milczeniu na swem stanowisku, włożywszy lufę pomiędzy dwie płyty bruku. Kiedy już wojsko zbliżyło się, dali ognia—batalion także.

Poza nimi, — ci z Petit-Carreau, otoczyli Dyonizyusza i Sarra, a oparci łokciami o barykadę, z szyją zwróconą ku reducie Mauconseil,—patrzeli na wzór gladyatorów.

Ci sześciu z reduty Mauconseil, opierali się uderzeniom batalionu przeszło kwandrans. Nie strzelali razem, ażeby, jak się jeden z nich wyraził, *przedłużyć przyjemność*. Przyjemność dania głowy za obowiązek—wielkie to słowo w ustach robotnika.

Nie cofnęli się w ulice sąsiednie, dopóki nie wyczerpali swej ammunicyi. Ostatni, który miał trzy kule, nie ustąpił aż dopiero w chwili, gdy już żołnierze wdrapali się na szczyt barykady.

W barykadzie Petit-Carreau nie wymówiono ani słowa, ale śledzono wszystkie fazy tej walki ściskając się za rękę.

Nagle wrzawa ustała, — ostatni strzał padł. W chwilę potem ujrzano kaganki ustawione na wszystkich oknach, wychodzących na ulicę Mauconseil. Zabłyszczały bagnety i czaka. Barykada została wziętą.

Komendant batalionu nakazał, jak to zwykle bywa w takich razach, mieszkańcom domów sąsiednich oświecić okna.

Skończyło się z redutą Mauconseil.

Sześćdziesięciu walczących widząc, że nadeszła ostatnia ich godzina, wstąpiło na kupę kamieni brukowych i wydało jednym głosem, ten wśród nocy daleko rozlegający się okrzyk: Niech żyje rzeczpospolita!

Żadnej na to odpowiedzi.

Usłyszeli tylko jak batalion nabijał broń.

Wtedy doznali wszyscy pewnego rodzaju wstrząśnienia.

Wszyscy upadali ze znużenia, będąc na nogach od poprzedniego dnia, i to znosząc ciągle bruk lub walcząc, a przytem nie jedząc ani pijąc.

Charpentier rzekł do Sarre:

— Zginiemy wscyscy!

— Zapewne – dodał tenże.

Jan Sarre kazał zamknąć drzwi od sklepu win w tym celu, iżby ich barykada całkiem pogrążona w ciemności, miała pewną przewagę nad barykadą zajętą przez żołnierzy i oświeconą.

Tymczasem pułk 51 oczyszczał ulicę, znosił rannych do ambulansu i zajmował stanowisko w podwójnej barykadzie Mauconseil. W ten sposób upłynęło pół godziny.

Teraz, ażeby mieć wyobrażenie o tem, co nastąpi, trzeba sobie uzmysłowić w tej milczącej ulicy, w tej ciemnej nocy, dwie te reduty stojące naprzeciw siebie o jakie 60—80 metrów, i mogące, jakby w Iliadzie, znosić się ze sobą słowem.

Z jednej strony wojsko, z drugiej lud—a nad wszystkiem, ciemność.

Spokój, który zwykł poprzedzać wszelkie ostateczne wstrząśnienia, już się kończył. Przygotowania również ukończono z jednej i drugiej strony. Słyszano jak kapitanowie wydawali rozkazy. Widocznem było, że się walka rozpocznie.

— Zacznijmy—rzekł Charpentier — i odciągnął kurek u swego karabina.

Dyonizy powstrzymał go za ramię.—Zaczekaj—rzekł.

Ujrzano wówczas coś epickiego.

Dyonizy wszedł powoli po bruku barykady, doszedł aż do szczytu, a tam wyprostował się — bez broni—z odkrytą głową.

Ztamtąd podniósł głos i stanąwszy nawprost żołnierzy, zawołał:

— Obywatele!

Słowo to przeszyło elektrycznie wszystkich, z tej i z tamtej barykady. Wszystkie hałasy uciszyły się, wszystkie głosy zamilkły,—z obydwóch stron zapanowało milczenie głębokie, religijne, uroczyste. Przy dalekim blasku kilku okien oświetlonych, dostrzegli niewyraźnie żołnierze, człowieka stojącego ponad obłokiem cieni jak widmo i przemawiającego do nich.

Dyonizy mówił dalej:

— Obywatele armii—posłuchajcie mnie!

Milczenie stało się natężonem.

Zaczął znowu:

— Co chcecie tu uczynić? Wy i my, my wszyscy, którzy tu jesteśmy na tej ulicy, o tej godzinie, z szablą lub karabinem w ręku, co chcemy uczynić? Mordować siebie nawzajem?

— Mordować obywatele? Dlaczego? Dlatego, że rzucono między nas nieporozumienie? Dlatego, że jesteśmy posłuszni, wy waszej karności, my naszemu prawu! Wam się zdaje, że spełniacie rozkaz, ale my wiemy, że spełniamy obowiązek.

— Jesteśmy jednym narodem, jednym krajem, tymi samymi ludźmi, o Boże! Czyż w moich żyłach płynie krew inna niż w waszych? Nie! więc pocóż się bijemy? Pojąć jeszcze łatwo strzał dany przez Francuza do Anglika, ale przez Francuza do Francuza—o!—to rana zadana rozumowi, to rana zadana Francyi.

Słuchano go z drżeniem. A w tej chwili z przeciwnej barykady, głos jakiś zawołał: Więc wracajcie do domu!

Na tę brutalną przerwę, gniew powstał między towarzyszami Dyonizyusza, tak, że posłyszano kilka naraz odciąganych kurków.

Lecz on ich zatrzymał gestem.

Gest ten miał dziwną powagę. — Co to za człowiek?—pytali się walczący, i nagle zawołali:

— To reprezentant ludu.

Istotnie, Dyonizy przywdział nagle szarfę swego brata Gastona.

To, co obmyślił naprzód, miało się spełnić—nadeszła godzina heroicznego kłamstwa, zawołał:

— Żołnierze! wiecież kto stoi w tej chwili przed wami? To nietylko obywatel, ale prawodawca—wybraniec głosowania powszechnego!

— Nazywam się Dussoubs i jestem przedstawicielem ludu. W imieniu też Zgromadzenia narodowego, w imieniu Zgromadzenia wszechwładnego, w imieniu prawa, wzywam was, ażebyście mnie posłuchali.

— Żołnierze, wy jesteście siłą. Otóż kiedy prawo przemawia, siła milczy.

Tym razem nikt nie przerwał milczenia.

Powtarzamy—mówi autor—te słowa prawie co do słowa, tak jak się wraziły w pamięć tych, którzy je słyszeli, — lecz czego nie możemy oddać, a co potrzebaby dodać do tych słów, żeby dobrze zrozumieć wrażenie, to postawę i akcent, to wzruszenie i wibracyą słów wychodzących z tej szlachetnej piersi, to uroczystość godziny i straszliwego miejsca.

A. Dussoubs mówił dalej: „Mówił około 20 minut“ zapewniał nas jeden ze świadków. A drugi opowiadał nam: „Mówił tak głośno, że go słychać było na całej ulicy“. Był wymownym, gorącym, głębokim, sądzącym Bonapartego, przyjacielskim dla żołnierzy. Usiłował ich wzruszyć za pomocą tego, co w nich jeszcze drgało; przypomniał im prawdziwe wojny, prawdziwe zwycięztwa, sławę narodową, dawny honor wojskowy, sztandar. Rzekł im, że wszystko to zabiją kule ich karabinów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TREŚĆ. **Z Albumu**, poezya, przez Adama Pajgert. — **Zadania moralne**, (dokończenie), przez Bronisława Chlebowskiego. — **Sąsiedzi**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Przegląd piśmienniczy**, przez Stanisława Krzemińskiego. — **Nowiny paryzkie**, (dokończenie). — **Z działu przyrody**, (dalszy ciąg), przez prof. K. Jurkiewicza. — **Historya zbrodni**, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. **Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.**

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Мая 1878 года